

Jacek Bartyzel*

Niniejsza wypowiedź odnosi się do większości pytań postawionych w ankiecie.

„Grzechem pierworodnym” literatury politologicznej poruszającej zagadnienie autorytaryzmu – i to w stopniu skażenia tak znacznym, że czyniącym ogromną większość prac z tego zakresu pozbawioną jakichkolwiek walorów poznawczych makulaturę – jest, oparte o ukryte wartościowanie, traktowanie fenomenu autorytaryzmu jako „minus-demokracji” (jej „wypaczenia”, „pogwałcenia” czy nawet anihilacji), nie zaś jako zjawiska *wsobnego*, tzn. samoistnego, posiadającego własne, immanentne reguły działania i legitymizacji panowania. Przenikliwie dostrzegł to już pół wieku temu, wysoko szybujący ponad tłumem wyrobników *political science*, filozof polityki Leo Strauss, który nicując samozakłamanie pozytywizmu co do możliwości „uwol-

nienia” nauk społecznych od *sądów wartościujących*, napisał: „Nie wolno [...] nie zauważać niewidocznych sądów wartościujących, które są ukryte przed niewyrobionym wzrokiem, lecz jak najbardziej obecne w pozornie czysto deskryptywnych pojęciach. Przykładowo, gdy badacz społeczeństwa odróżnia pomiędzy demokratycznymi czy autorytarnymi nawykami czy typami ludzkimi, wtedy to, co nazywane jest «autorytaryzmem», jest we wszystkich znanych mi przypadkach karykaturą wszystkiego, co ów badacz, jako zwolennik demokracji pewnego rodzaju, odrzuca” (*Czym jest filozofia polityki?* [w:] *Sokratejskie pytania. Eseje wybrane*, przeł. P. Śpiewak, Warszawa 1998, s. 73).

Rozwijając spostrzeżenie Straussa możemy zauważyć, że typowy badacz autorytaryzmu podświadomie, a najczęściej zapewne bezwiednie, percypuje – zlaicyzowaną oczywiście – teo-ontologię św. Augustyna, identyfikując demokrację z *dobrem* a dobro z *bytem*, nie-demokrację zaś ze *złem* a zło z *niebytem* (to jeszcze jeden dowód trafności tezy Carla Schmitta, iż nowożytne i współczesne pojęcia polityczne są zsekularyzowanymi pojęciami teologicznymi); autorytaryzm zatem, jako jedna z ewidentnych postaci nie-demokracji, jawi mu się jako *przeczenie* „dobra-bytu”, czyli demokracji. W autorytaryzmie nie może przeto być nic *pozytywnego*, jest on tylko negacją; tak jak szatan potrafi jedynie przedrzeć Pana Boga, tak samo autorytaryzm musi być przedrzeźnianiem, parodiowaniem, odstępstwem, zafałszowaniem, a w końcu destrukcją demokracji. To *schizma bytu* tożsamego z demokracją i bluźniercza *herezja* wobec demokratycznego dogmatu.

Politolog – scjentyista jest zazwyczaj szczerze przekonany o swoim obiekty-

* **Dr hab. Jacek Bartyzel**, prof. UMK. Teatolog, historyk myśli politycznej, filozof polityki. Opublikował m.in.: „Konserwatyzm bez kompromisu. Studium z dziejów zachowawczej myśli politycznej w Polsce w XX wieku”; „«Umierać ale powoli!» O monarchistycznej i katolickiej kontrrewolucji w krajach romańskich 1815–2000”; „W gąszczu liberalizmów. Próba periodyzacji i klasyfikacji”; „Śmiertelny bóg Demos. Pięć wykładów o demokracji i jej krytykach”.

wizmie i „niezaangażowaniu” ponieważ zwyczajnie nie zauważa tego, iż demokrację traktuje jako „oczywistą oczywistość”, i to nie tylko w sensie politycznym, lecz również aksjologicznym, jako bezdyskusyjną normę sprawiedliwości, praworządności, nawet „zwyczajnej” przyzwoitości. To ukryte (głównie przed samoświadomością badacza) założenie dość łatwo można zdemaskować wskazując na nonszalancką – a przeto nieodróżnialną od retoryki dziennikarskiej – skłonność do posługiwania się sformułowaniem: „*przywracanie* demokracji”, bez względu na to czy w danym kraju demokracja, i to jakkolwiek rozumiana, kiedykolwiek istniała. Gdyby na przykład pewnego dnia, w będącej od zawsze monarchią absolutną Arabii Saudyjskiej, zapanował ustrój demokratyczny, usłyszeliśmy zapewne również, że demokracja została tam *przywrócona*. Jeżeli zatem demokrację zawsze, bez względu na okoliczności, „przywraca się”, to może to oznaczać tylko jedno: że domniemanie traktuje się ją jako ustrojową normę prawowitości, która winna panować zawsze i wszędzie, należąca przeto nie tylko do sfery *bycia*, ale *powinności*.

Inną postacią tego samego błędu optycznego jest rozpatrywanie autorytaryzmu i klasyfikowanie jego form czy odmian ze względu na *stopień odchylenia* czy oddalenia od norm i zasad demokracji – co więcej, na ogół tylko od tej postaci demokracji, którą znakomita większość politologów przyjmuje (znów jako teoremat nie wymagający uzasadnienia) jako wzorcową i w gruncie rzeczy jedynie „prawdziwą”, tj. parlamentarną w formie, liberalną w treści ideowej i indywidualistyczną (nominalistyczną) w presupozycji antropologicznej; dlatego też, napotykać pojawiające się nie-

kiedy w doktrynach i systemach autorytarnych pojęcie *demokracji organicznej* – jako bądź istoty, bądź komponenty, tego ustroju, treściowo zaś oznaczające reprezentację ciał społecznych (rodzin, municypiów, grup zawodowych) a nie jednostek i partii politycznych – badacz ów czuje się upoważniony do otwartego odstąpienia od reguły bezstronności i pofolgowania sobie w dowolnej porcji szyderstw z takiej „demokracji”. Traktując tedy demokrację jako stan naturalny, autorytaryzm zaś jako odstępstwo od owego stanu i *brak*, bada i porównuje oglądane przezeń systemy autorytarne zawsze i tylko przez pryzmat norm i instytucji systemu demokratycznego. Tu, już zgodnie z regułami sztuki wyuczonymi na studiach politologicznych, skrupulatnie liczy ilość partii politycznych, stopień swobody ich działania oraz reglamentacji swobody wypowiedzi, enumerację uznawanych „praw człowieka”, warunki wolności zgromadzeń, manifestacji, strajków, częstotliwość, powszechność i uczciwość wyborów itp. Jego ustalenia w tym zakresie mogą być rzetelne, tyle tylko, że są zupełnie jałowe i nieadekwatne do badanego przedmiotu. W najlepszym razie mówią one o tym, czym autorytaryzm *nie jest*, zwłaszcza zaś o tym, że nie jest (w mniejszym lub większym stopniu) demokratyczny, zgoła nic natomiast o tym, czym on jest *per se*. W ten sposób zaś kryteria opisu stają się także kryterium oceny, a więc sądów przynajmniej *de facto* wartościujących, albowiem „odkrycie” faktu, że autorytaryzm jest niedemokratyczny upoważnia do odmówienia mu politycznej, moralnej, a czasem i „estetycznej” legitymizacji.

Aby zdać sobie sprawę z konsekwencji takiego podejścia, wystarczy wyobrazić sobie, że badacz współcze-

snego ustroju demokratycznego uczyniłby głównym przedmiotem (i narzędziem weryfikacji) swoich dociekań na przykład pytanie czy oparta o antropologiczno-polityczną zasadę identyczności i równości jednostek/obywateli demokracja liberalna respektuje przywileje i uprawnienia stanów społecznych, czy i jakie panują w niej reguły nobilitacji albo jaki jest zasięg rozdawnictwa feudalnych lenn i beneficjów? W każdym z tych wypadków badacz musiałby oczywiście stwierdzić niewystępowanie w demokracji tych zjawisk, ale przecież samo stawianie tego rodzaju pytań zostałoby wyśmiane jako pseudo-problemy. Tymczasem, analogiczne postępowanie, tj. stawianie pytań nieadekwatnych do obszaru badań, w wypadku autorytaryzmu uchodzi nie tylko za dopuszczalne, ale jest wręcz normatywne, chociaż „odkrycie”, iż autorytaryzm jest niedemokratyczny nie ma większego znaczenia niż „odkrycie”, że demokratyczna republika nie jest monarchią absolutną.

Bezradność badacza uwikłanego w *demolatrię* wychodzi na jaw zwłaszcza wówczas, gdy przychodzi mu uporządkować obficie zgromadzony materiał empiryczny systemów *niedemokratycznych* (oraz jawiących mu się jako niedemokratyczne, co niekoniecznie musi być prawdą), czyli zgodnie z arystotelesowskim paradygmatem nauki, posegregować go i poklasyfikować. Ale jak to uczynić, skoro wszystkie kryteria pochodzą z zewnątrz, żadne zaś nie jest dla autorytaryzmu immanentne? Rezultat więc jest taki, że *autorytaryzm* staje się napęczniałym niemożliwie „pojęciem-workiem”, w którego czeluście wrzucono Horthy'ego i Atatürka, Piłsudskiego i Peróna, Salazara i Franco, Jaruzelskiego i Pinocheta, Łukaszenkę i Cháveza, a jedynym sposo-

bem ich klasyfikacji jest ustalenie stopnia ich *niedemokratyczności*. Gdy ta osiąga swoje ekstremum, autorytaryzm jest następnie identyfikowany z *totalitaryzmem* – znów bez śladu refleksji czy pomiędzy demokracją jako formą ustroju a totalitaryzmem jako jego ideologiczną treścią zachodzi konieczne esencjalne przeciwieństwo. Znamienne też, że rozpoznając wyjątkowo opresyjne formy sprawowania władzy politycznej jak ognia unikają klasycznego terminu *tyrania* (czego z kolei, by wspomnieć choćby Bullocka, nie obawiają się historycy, nie mówiąc już o filozofach polityki), najwyraźniej uważając go za „nienaukowy”; chętnie natomiast szafują równie klasycznym terminem *dyktatura*, gubiąc w ten sposób sens rozróżnienia pomiędzy *dyktaturą konstytucyjną* jako formą władzy autorytarnej a dyktaturami „racji” o charakterze ideologicznym, pomiędzy dyktaturami kontrrewolucyjnymi („z góry”) a rewolucyjnymi („z dołu”), w tym określanymi jako „dyktatura proletariatu”; wreszcie pomiędzy dyktaturą a przywództwem mafijnym.

Ten „węzeł gordyjski” rozwikłać można jedynie cięciem rozdzielającym wyrażenie systemy jedynie dokonujące *naruszeń* w sferze właściwego demokracji funkcjonowania norm i instytucji, nie kwestionujące wszelako zasad – przede wszystkim typu i sposobu legitymizacji władzy – fundujących demokrację, a w najgorszym wypadku je imitujące, od systemów (i doktryn) autorytarnych *sensu proprio*, które muszą być zidentyfikowane i zdefiniowane w oparciu o zasady właściwe immanentnie autorytaryzmowi.

Zasady te zaś są, jak można to ustalić na podstawie analizy porównawczej, następujące. Po pierwsze, jak wynika z samego źródłosłowa tego pojęcia,

w centrum uwagi autorytaryzmu znajduje się zagadnienie (politycznego) autorytetu (*auctoritas*), czyli upoważniającej do rządzenia i poprzedzającej faktycznie zaktualizowaną siłę władzy (*potestas*), a zatem niematerialnej mocy rozkazodawczej, postrzeganej jako konieczny warunek utrzymania i zachowania (bądź odrestaurowania w sytuacji kryzysu) politycznego porządku (*ordo*). Po drugie, wyraźna personifikacja tego porządku w osobie charyzmatycznego szefa, dysponującego pełnią autorytetu deontycznego, który nie podlega zakwestionowaniu, a niekiedy i w pewnej mierze (zwłaszcza gdy jest on również teoretykiem autorytaryzmu) także autorytetu epistemicznego. Po trzecie, hierarchiczna, a nie egalitarna, wizja porządku oraz relacji międzyludzkich. Po czwarte, uznanie, że legitymizacja władzy pochodzi „z góry”, to znaczy z norm w jakikolwiek sposób transcendentnych wobec społeczeństwa politycznego (ogółu rządzonych), nie zaś z jego woli, czyli „z dołu”. Powiadamy tu: „w jakikolwiek sposób”, albowiem – chociaż pełną i wyraźną postacią tego typu legitymizacji jest legitymizacja religijna („legitymizm pochodzenia władzy od Boga”) – to jednak tego rodzaju uzasadnienie występuje tylko w niektórych empirycznie identyfikowanych przypadkach autorytaryzmów.

W świetle powyższego nie ma zatem żadnego usprawiedliwienia dla określania mianem „autorytarnych” reżimów, które: a) kreują polityczną *nierzeczywistość* demokracji „wyższego typu” – „ludowej” i „socjalistycznej”, w przeciwieństwie do „burżuazyjnej” – w której „wybory” są rytuałem aklamacji dla totalitarnej monopartii i jej monoideologii (przypadek systemów komunistycznych); b) ingerują nieuczciwie w proces

wyborczy przez ograniczanie dostępu opozycji do komunikowania się z wyborcami, szykanowanie jej działaczy czy wręcz fałszowanie wyników (przypadek zarówno systemów komunistycznych w fazie zdobywania władzy, jak postkomunistycznych, gdzie była kompartia pozostaje wciąż siłą dominującą w systemie pozornie pluralistycznym, jak w republikach postsowieckich); c) stosują demagogiczne metody podburzania (i przekupywania) mas celem osłabienia lub nawet wyeliminowania tych instytucji i ośrodków władzy (a zwłaszcza elit społecznych, politycznych, finansowych etc.) państwa demokratycznego, które stoją na przeszkodzie zdobyciu pełni władzy przez „przyjaciela ludu” sprawującego już zazwyczaj funkcję (demokratycznie wybranego) szefa państwa (przypadek populistycznych demagogów typu Cháveza w Wenezueli, Moralesa w Boliwii i innych państwach latynoamerykańskich, odpowiadający właśnie najściślej opisywanemu już przez klasyków filozofii politycznej procesowi przechodzenia od skrajnej – ochłokratycznej – demokracji do tyranii). Kto fałszuje wybory, albo podburza masy, albo wreszcie zadaje sobie niewątpliwy trud tworzenia *logokracji*, nazywającej się „wyższą” postacią demokracji, ten niewątpliwie – choć oczywiście w osobliwy sposób – składa hołd demokratycznej zasadzie legitymizacji władzy; tak bardzo uznaje ją za jedyny sposób uprawomocnienia panowania, że gotów jest stworzyć jej iluzję, a niekiedy nawet samemu w nią wierzyć; *ergo* – nie jest autorytarystą, któremu taki typ legitymizacji jest obojętny.

Konkludując: określenia *autorytaryzm* i *autorytarny* należy zarezerwować do tych ustrojów i reżimów politycznych oraz uzasadniających je doktryn,

które ani o demokratyczną legitymizację nie zabiegają, ani nie uważają jej za faktyczne i słuszne uprawomocnienie panowania; które natomiast legitymizacji tej poszukują w jakkolwiek rozumianym „prawie wyższym” niż „legalne” prawo pozytywne i wola ludzka, zwłaszcza wola „suwerennego ludu”. Może to być prawo naturalne pochodzenia boskiego, idea ładu (*ordo*), realizacja dobra wspólnego, racja stanu lub interes narodowy, ocalenie publiczne, zasługa (na przykład dla odzyskania niepodległości) – w każdym jednak wypadku uzasadnienie to pochodzi „z góry”. Z tego powodu autorytaryzm niewątpliwie wykazuje podobieństwo do ustrojów tradycyjnych (zwłaszcza monarchii – naturalnie przedliberalnej), a na płaszczyźnie filozoficzno-politycznej do konserwatyzmu, acz różni go od nich dwie poważne cechy: brak „legitymizmu pochodzenia” i reguła sukcesji oraz wysoki zazwyczaj poziom militarystyki polityki. Autorytarny „szef” jest z zasady dyktatorem *decyzyjnym*, który w przeciwieństwie do monarchy tradycyjnej władzy nie odziedziczył, lecz pojawił się „znikąd”, w egzystencjalnej „sytuacji krytycznej” – stanu anarchii, czyli powrotu do Hobbesowskiego „stanu natury”, toteż sam osiąga władzę siłą. Brak zakorzenienia w tradycji i reguła sukcesji oraz militarystyka jest zatem „piętą achillesową” autorytaryzmu i przyczyną jego nietrwałości: wszystkie autorytaryzmy albo upadły w sposób równie gwałtowny, jak zostały ustanowione (wskutek rewolucji bądź przegranej wojny), albo dokonał się ich rozkład (nazywany zwykle „liberalizacją”, co stanowi kolejny dowód na to jak trudno oprzeć się stosowaniu demo-

kratycznej symboliki i retoryki w opisie autorytaryzmu) wskutek stopniowego ustępowania przed roszczeniami ideologii demokratycznej i jej eksponentów. Klasycznymi przykładami pierwszego przypadku są salazarowska Portugalia i rządzona przez juntę prawicowych generałów Argentyna sprzed wojny o Falklandy, drugiego – frankistowska Hiszpania i Chile gen. Pinocheta.

Na koniec należy wspomnieć o – wyjątkowo trafnie wskazywanej przez ogół badaczy – cesze autorytaryzmu, jaką jest jego aideologiczność. W połączeniu z niechęcią, wręcz odrazą, do mobilizowania mas jest to jedna z podstawowych przesłanek do odróżniania autorytaryzmu od totalitarnych tyranii typu faszystowskiego bądź komunistycznego; o ile te dążą do polityzacji wszystkich i wszystkiego, o tyle dążeniem autorytaryzmu jest depolityzacja ogółu społeczeństwa, co wynika z (*stricte* arystokratycznego) przeświadczenia, iż rozum publiczny ma swoje siedlisko jedynie w wąskiej elicie lub nawet tylko w osobie przywódcy. Wtórnie natomiast autorytaryzmy można klasyfikować jako nacjonalistyczne i „państwowe” (jak autorytaryzm sanacyjny w Polsce), monarchistyczne i republikańskie, korporatystyczne i neoliberalne (w koncepcjach gospodarczych), konfesyjne i niekonfesyjne, wojskowe i cywilne, z tym zastrzeżeniem, że linie podziału mogą przebiegać wewnątrz danego systemu, jako sektory jego elity władzy (na przykład syndykalistyczna Falanga i neoliberalna Opus Dei w Hiszpanii Franco) lub jako fazy w jego ewolucji (na przykład początkowo militarny charakter autorytaryzmu portugalskiego a następnie czysto cywilny „salazarystyczny”).

